

Mąż kontrolował moją garderobę, a wkrótce sam zaczął ją dobierać.

- Załóż tę najnowszą sukienkę - poprosił któregoś razu, kiedy zbierałam się do pracy.

- Jest wyzywająca - zauważyłam. - Nie będziesz zazdrosny? - Prędko pożałowałam swojego pytania. Zostałam spoliczkowana spojrzeniem typu: "Przecież nie mam o kogo". Faktycznie - tylko Gośka dostrzegła moją wizualną przemianę. Grałam już wówczas rolę brzydszego łabądka.

Mateusz nie był tyranem. Kochał mnie tak, jak potrafił, a jego uśmiech i czułe objęcia, którymi obdarowywał mnie zawsze przed zaśnięciem, wynagradzały całe zło, jakie kiedykolwiek spotkałam. Widziałam w nim ojca, który - wiecznie zapracowany - nie dostrzegł mojego dorastania. Pozwoliłam więc wychowywać się na kobietę, jaką chciał, abym była. Czasami mawiał, że mam w sobie coś, czego brakowało ślicznotkom z baru, którym kiedyś po cichu zazdrościłam. Miał na myśli pokorę. Cieszyło mnie, że byłam w czymś lepsza od nich, toteż pielęgnowałam tę cechę. Raz czy dwa zdarzyło mi się więc po cichu pudrować siniaki... W końcu czułam się pewnie, mając przy boku mężczyznę, który mimo iż nie trzymał mnie za rękę, zdawał się mówić bezgłośnie: "Wybrałem ją na swoją i nie mam zamiaru się dzielić". Pech chciał, że po dwóch latach małżeństwa sam zerwał przysięgę wierności. Nie mogłam przecież wymagać, by facet taki, jak Mateusz, był wierny właśnie mnie. Wprawdzie wyzbyłam się przy nim łózkowej pruderii, lecz wiedziałam, że potrzebuje dziewczyny, która samym wzrokiem zmiękczy jego kolana. Przez chwilę byłam nawet szczęśliwa, że zdradził mnie dopiero po dwóch latach. Wówczas nie zdawałam sobie sprawy, że być może zawiodła moja spostrzegawczość.

Udawałam, że nic nie wiem. Myślałam, że to najbezpieczniejsze wyjście, choć ciężko było się kryć. Bolał mnie sam fakt, że dowiedziałam się w tak banalny sposób! Znalazłam ślady szminki w kolorze wina na jego koszuli. Przez chwilę słowo „winowajca” wydawało mi się zabawne. Miałam obawy, że Mateusz dowie się o mojej świadomości zdrady i milczeniu – wtedy, automatycznie, cała agresja tłumiona od tak dawna przelałaby się na mnie. Wiecznie zestresowana zaczęłam cierpieć na bezsenność. Zmartwiony mąż umówił mnie na wizytę do „znakomitego psychologa”, który zdiagnozował depresję i wypisał receptę na leki otumaniające na dzień i nasenne. Udało mi się wmówić Mateuszowi, że mój stan spowodowały nieudane próby zajścia w ciążę. W rzeczywistości wciąż brałam pigułki antykoncepcyjne.

Nie zastanawiała mnie tożsamość kobiety, z którą byłam zdradzana. Z góry założyłam, że to jedna z tych ślicznotek, jakie kiedyś przebywały w Piekiełku, tudzież dziewczę ich pokroju i urody. Przecież kolekcjonował je jak trofea.

Podświadomie zmieniałam niewypowiedzianą miłość w nienawiść. Może miały na to wpływ spojrzenia mężczyzn, jednoznacznie sugerujące, że przestaję być Kopciuszkiem? Mój mąż ich nie dostrzegał. Żył w błogiej nieświadomości, myśląc, że nie tylko mnie odkrył, ale posiadał monopol na wydobywanie piękna. W moich oczach stawał się karykaturą faceta, którego pokochałam. Wciąż byłam dobrą, stuprocentowo wierną małżonką. Nagłe zainteresowanie płci przeciwnej wzmagало moje niezadowolenie z powodu jego skoków w bok i tylko częściowo je rekompensowało. Przyłapywałam się nawet na braku ochoty na bliskość. Zaskakujące, jaką moc ma banal z migreną w roli głównej! Dziś widzę, że widocznie musiał dość często spotykać się z tą drugą, skoro nie nalegał na seks.

Wizyty u wspomnianego wcześniej terapeuty przestały przynosić ulgę. Wiem, że obowiązywała go tajemnica lekarska, jednak nigdy nie przyznałam się, że ów stan wywołują nagminne zdrady męża, czyli jego przyjaciela. Wstydziłam się. Praca nie pozwalała mi do końca zwariować. Dawała chwilami poczucie normalności. W Piekiełku czułam się lepiej niż w domu. Stopniowo zaprzyjaźniałam się z Gośką – była taka otwarta. Chodziła wiecznie rozpromieniona i czasami zarażała optymizmem. Wyjawiała kiedyś, że to przez mężczyznę, który zjawił się w jej życiu. „I dobrze!” - myślałam. Z całego serca życzyłam dziewczynie szczęścia.

Czas płynął szybko, a depresja nie ustępowała. Automatycznie wykupowałam recepty, choć coraz częściej myślałam o odstawieniu leków. Rozsądek stopniowo przestawał być jednym z kryteriów przy podejmowaniu decyzji. Łudziłam się nadzieją, że być może po dwóch latach „ta druga”, jak w myślach nazywałam kochankę Mateusza, wciąż używająca tej cholernej szminki i duszących cytrusowych perfum, utrzymujących się zbyt długo na mankietach koszuli, przestanie być dla niego atrakcyjna, jak to stało się ze mną. Że – nawet, jeśli nie przestanie mnie zdradzać – zmieni obiekt zainteresowania na jakiś zostawiający mniej alergicznych śladów. „Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal”. Poczułam się ponownie zraniona rozczarowaniem. Stłukłam w złości kilka kufli w Piekło i rozplakałam się nie na żarty. Dopiero wtedy zrozumiałam, że tracę Mateusza. Gośka pozamiatała szkło i podała mi chusteczki, o nic nie pytając.

- On mnie zdradza - wyznałam, hamując szloch. - Przy każdym pieprzonym praniu pomagam mu zacierać ślady. Mam ochotę prosić go, by kazał tej kretynce robić bardziej dyskretny makijaż albo całować go dopiero, gdy pozbędą się ubrań. Ciekawe, czy kiedykolwiek jej rozkazał?! *Bad romance*, kurwa!

Nowa powierniczka była wstrząśnięta moim wybuchem. Na szczęście miałyśmy już zamykać, sala świeciła pustkami. Chciała chyba podejść i mnie objąć, ale powstrzymałam ją gestem.

Jak na życzenie, czerwoną szminkę zastąpiła perłowa. Nie miałam jednak złudzeń – to była wciąż ta sama kobieta, używająca ohydnych perfum.

Po raz setny w życiu uczyłam się oddychać. Organizm domagał się dozy normalności – bezsenność ustąpiła, odstawiłam tabletki, nie pytając o zgodę Mateusza ani psychologa. Byłam zdania, że zgodę ze sobą muszę wypracować samodzielnie. Dbałam o pozory, byłam w tym niezła.

W pamięci utkwił mi pewien wieczór: siedemnasty października. Niby nic wyjątkowego – deszcz padał jak zawsze tej jesieni, a bezpańskie psy tułały się po uliczkach. Czułam się jedną z nich: wytresowana, znająca komendy „leżeć” i „do nogi”, które wpojono mi, okazując przywiązanie, a następnie puszczone samopas i pozbawiono opieki.

Miałam pracować cały wieczór, od dwudziestej sama w barze. Gośka wyprosiła u szefa wolny wieczór i kończyła wcześniej. Była zadowolona. Zmieniła coś w swoim wyglądzie, lecz miałam na głowie większe zmartwienia niż jej uśmiechy. Przez chwilę zastanawiałam się chyba, czy jej osobisty Superman kiedyś ją zdradził.

Matka Natura również nie miała nastroju: niewinny deszcz przekształciła szybko w burzę. Lubię to zjawisko. Kilka minut po dziesiątej elektrownia ograniczyła dopływ prądu do dzielnicy, w której położone było Piekło. Po dwóch kwadransach w ciemności zamknęłam bar – chciałam prędko się położyć. Wracałam do domu w najnowszej sukience, stukając obcasami o chodnik. Deszcz zmył mój makijaż i zmęczenie. Weszłam cicho do domu – nie chciałam budzić męża. Z sypialni sączyło się światło. Ściągnęłam cicho płaszcz i na palcach podeszłam do drzwi. Widok, który zastałam, momentalnie roztrzaskał mi czaszkę na milion myśli. „Mateusz. Mateusz i blondynka. Pieprzą się. Mateusz i G O Ś K A. Kochają się. Delikatnie. Mateusz. Delikatnie. Zajęci sobą. Perfumy Gośki! Jej zmiana – szminka na ustach. Gośka. Mateusz. Pieprzą się. Nasze łóżko. Gośka, której czasem się zwierzam. Gośka WSPÓLCZUJĄCA MI zdrad męża. Mąż. Przyjaciółka. Zdrada. Mateusz i Gośka. Kochają się. W naszym łóżku!”.

Wybiegłam boso z domu. Nie trzasnęłam drzwiami – nawet mnie nie zauważyli. Stałam w deszczu do pierwszej, początkowo próbując ogarnąć wszystko, co się stało. Nie umiałam. W myślach recytowałam tekst piosenki. „Tańcz, głupia, tańcz”. Przemoknięta wróciłam do domu. Mateusz spał, więc nie musiałam ukrywać łez. Miałam wrażenie, że zdążyły wyżłobić sieć dróg na moich policzkach.

Tej nocy modliłam się żarliwie. Nie pamiętam, bym robiła to kiedykolwiek wcześniej, później na pewno nie próbowałam.

Po przebudzeniu doznałam szoku, pierwszy raz bowiem koszmar nie skończył się wraz ze snem. Była sobota, Mateusz pracował do południa. Przygotowując obiad, doprowadziłam swój obłęd do apogeum. Powitałam męża nieszczerym uśmiechem. Wcześniej załatwiłam zastępstwo w pracy, a Mateusza okłamałam, mówiąc, że mam wolne popołudnie. Opracowałam plan zwycięstwa. Spędziliśmy „normalny” dzień, a wieczorem poszliśmy do łóżka.

- Kochajmy się – poprosiłam. - Mam dni płodne. Zróbmy to delikatnie.

Mąż przystał na moją propozycję. Był czuły, całował mnie lekko. Byłam na górze. Jak Gośka.

- Kocham cię – powiedział. Dawno tego nie słyszałam. W oczach zaszkliły mi się łzy wzruszenia i... tęsknoty, która dopiero miała nadejść. Wziął mnie raz jeszcze, subtelnie.

- Przyniosę coś do picia – rzekłam po wszystkim. W kuchni nalałam toniku do dwóch szklanek, do jednej z nich wsypałam dwadzieścia siedem tabletek na sen i dokładnie wymieszałam. Do obu dodałam po kilka kropel ginu. Tę pierwszą podałam Mateuszowi. Przyglądałam się, jak wypija truciznę kilkoma haustami.

- Do końca życia będziesz kochał tylko mnie, wiesz? - wyszeptałam kiedy zasypiał, szczelnie otulając mnie ramieniem.

Wpatrywałam się w sufit do rana. Ciekawiło mnie, w którym momencie ciało mojego męża zrobiło się lżejsze o mistyczne dwadzieścia jeden gramów. Wraz ze świtem? Kiedy zatrzymało się krążenie? Kiedy stał się zimny jak lód? Czy przez całe życie taką temperaturę miało jego serce?

Na drugi dzień zadzwoniłam na policję. Przyjechali po dwudziestu minutach. Zastali mnie wtuloną w klatkę piersiową męża. Kazali się ubrać i wywieźli do aresztu.

Na rozprawie najgłośniejsz płakała moja matka.

- Córku, zabiłaś swoje szczęście! On był taki dobry dla ciebie... Taki dobry! - łkała, zamiast zeznawać.

Uznano mnie za niepoczytalną, dlatego przebywam w tym szpitalu. Jestem tu bezpieczna. Nie ma złych przyjaciółek ani pięknych ludzi.

Nazywam się Anna Krańska. Mam dwadzieścia dziewięć lat. Pięć miesięcy temu zabiłam ciało mojego męża. On sam umierał wcześniej wiele razy, ale jego krew była perłowa i pachniała cytrusami. Już nigdy nie pozwolę się zabić, przez zniszczone zaufanie.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

zawsze, dodano 12.08.2010 07:23

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.